

Alina Duchnowska

Wilcze szepty



WILCZE SZEPTY

Alina Duchnowska



[Kup książkę](#)



Agroturystyka Fena Tamalyego



Obóz Wilczych

Rozdział 1

Żółty SUV wyskoczył zza zakrętu. Na prawo od wiodącej pod górę żwirowej drogi, na stromym zboczu rosły świerki chwytające się rozpaczliwie skał. W dole gnał przed siebie spieniony, kipiący potok. W oddali, za wypłukanym przez górską rzekę wąwozem, ku niebu pięła się skalista ściana – Urwisko Śpiących.

Wydawało się, że szarobury monolit wyznacza granicę końca świata. Nie było to zresztą wcale takie złudne odczucie. W cichym cieniu gór, w nieprzebranej dziczy północnej tajgi tkwiło sennie Skalne Pleso – niewielkie, urocze miasteczko, które Lika i jej przyjaciele opuścili niecałą godzinę temu. Od większych skupisk ludzkich dzieliły ich już całe kilometry. Nawet brzydkie, industrialne Pustkowice żyjące z przemysłu drzewnego minęli dawno temu. Naprawdę byli więc na końcu znanego sobie świata.

Ignorując rozlegające się wokół donośne śmiechy i ogłuszającą muzykę, Lika zapatrzyła się na górujący nad krajobrazem skalny uskoki. Po sekundzie widok został za nimi, a oni znowu wpadli w rozwartą paszczę świerkowego boru. Wreszcie stroma trasa złagodniała. Jeszcze dwa zakręty i samochód wypadł na płaski odcinek drogi. Dotarli do celu.

Na czas wakacji wynajęli pokoje w jednym z niewielu miejsc noclegowych w okolicy Doliny Skalnego Plesa. Było to wznie- sione przed kilku laty na szczycie wzgórza nowe gospodarstwo agroturystyczne. Rozpościerał się stąd zapierający dech w pier- siach widok na przełom Kościelicy, która gnała wyżłobionym przez siebie wąwozem. Lika nawet nie zdawała sobie sprawy z istnienia tego zagubionego na północy kontynentu regionu. To Jens i jego koledzy, zapaleni do wędrówek górskich, ko- niecznie chcieli zobaczyć Asteny Wschodnie, wspiąć się na grań urwiska i zdobyć parę szczytów. Nie podzielała entuzjazmu swojego chłopaka, ale chcąc być blisko niego, dołączała czasami do łatwiejszych wypadów. Tak jak tym razem.

Ostatnio często się kłócili. Te wakacje miały stanowić dla nich szansę, żeby pobyć ze sobą, z dala od obowiązków dnia codziennego i presji rzeczywistości. Bez pracy Liki i Jenso- wych powtórek egzaminów. Sama zaproponowała, że weźmie urlop i pojedzie z partnerem na tę tygodniową wycieczkę, choć wołałaby wypoczynek w cieplejszych okolicach. Zależało jej jednak na Jensie. Chciała dać z siebie wszystko, żeby ten związek przetrwał kolejny kryzys. Chciała udowodnić sobie i innym, że umiała budować stabilne relacje.

Poznała Jensa ponad rok temu, kiedy przyszedł z kolegami do baru, w którym pracowała. Od razu dostrzegła roześmiane- go wysokiego blondyna, ale tylko opuściła wzrok i pilniej zajęła się obowiązkami. Ktoś taki przecież nigdy nie zwróciłby uwagi na niezbyt urodziwą dziewczynę z odstającymi uszami i szopą rudych loków. Jakże więc była zdumiona, kiedy zaczął ją zaga- dywać. Przez cały wieczór pilnie śledził spojrzeniem każdy jej ruch, gdy nalewała piwa i szykowała drinki. Zanim wyszedł, poprosił ją o numer. Potem umówili się na pierwszą randkę i Lika zakochała się bez pamięci. Była jednak przerażona

myśla, że jej trudny charakter mógłby zniweczyć ten związek. Nie umiała się zmienić, choć szczerze próbowała. Była emocjonalna i kłótliwa, a każda jej relacja kończyła się olbrzymią awanturą. Kiedy więc ktoś chciał spędzać z nią czas, czuła taką wdzięczność, że oddawała mu całe serce.

Tak samo było teraz – dawała z siebie wszystko, starała się do poziomu absurdu. A potem dopadało ją takie zmęczenie... Doceniała jednak, że Jens pomimo jej licznych wpadek i dziwactw wciąż z nią był. Starła się więc jeszcze bardziej. Nigdy jednak nie udało się jej stać dość dobrą. Nie dorównywała jego wykształconym znajomym czy pięknym koleżankom ze studiów. Musiał ją naprawdę kochać, skoro do tej pory od niej nie odszedł, co sam często jej przypominał. Właśnie dlatego zdecydowała się na tę wyprawę, chociaż nie lubiła chodzić po górach. Chciała pokazać, że zależy jej tak samo mocno.

Jens był dla niej tak dobry, że się zgodził.

A teraz robiło jej się niedobrze od jazdy po zakrętach i czuła, że zaraz zwymiotuje.

Szczęśliwie przejeżdżali właśnie pod sklepieniem drewnianej bramy. Po prawej od wysypanego żwirem podjazdu odgrodzony kamiennym murkiem pysznił się bujny ogród pełen warzyw, ziół i kwiatów. W wielobarwnych klombach uwijały się pracownice pszczoły, a przy grządkach z jarzynami pracowała szczupła kobieta o jaskraworóżowych włosach związanych w kitkę.

Na szerokim szczycie wzgórza, o cieniony przez towarzyszące mu drzewa, rozsiadł się uroczy piętrowy dom z bali. Za budynkiem rozpościerała się obłana popołudniowym słońcem łąka, z której roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na lasy i szczyty. Teren przynależący do górskiego rancza okalał płot z okorowanych pni. Przy ogrodzeniu krzatali się

trzej mężczyźni. Wyprostowali się, usłyszawszy dźwięk silnika. Najstarszy z nich – na oko sześćdziesięcioletek o imponującej posturze i siwej brodzie – wyszedł nowo przybyłym na spotkanie.

– Fen Tamaly – przedstawił się, podając dłoń Jensowi, kiedy podróżni wysiedli z auta. – Rezerwacja na dwójkę i trójkę, zgadza się?

Lika razem z resztą wakacyjnej ekipy chwyciła za bagaże. Przyjechali tu w pięcioro, bo Tom zabrał swoją dziewczynę, sympatyczną, wysoką Anis o figurze modelki. Dziwnym trafem wszyscy – Sam, Tom, Jens i Anis – byli równie wysocy. W ich towarzystwie Lika, która nigdy nie zdołała urosnąć ponad metr sześćdziesiąt, wyglądała jak rude, piegowate stworzonko z innego świata.

Niosąc plecaki swój i Jensa, weszła po kilku schodkach na werandę i... niemal potknęła się o strzelbę opartą o futrynę drzwi wejściowych. Westchnęła zdziwiona. Co prawda przed wyjazdem czytała, że ze względu na masę niebezpiecznych zwierząt na północy nie przestrzegano tak rygorystycznie zakazu posiadani broni palnej. Nie sądziła jednak, że strzelba będzie jedną z pierwszych rzeczy, które tutaj zobaczy.

– W okolicy jest sporo wilków i niedźwiedzi – wyjaśnił gospodarz, dostrzegłszy jej wystraszone spojrzenie. Jakby to miało ją uspokoić! – Dlatego uważajcie na szlakach.

– Jakby co, rzucimy im Likę na pożarcie – zażartował Sam.

– Co ty. – Anis zaśmiała się dźwięcznie. – Nawet by jej nie zauważyły. Lepiej któregoś z was, to tak się nażrą, że nie będą miały siły nas gonić! My z Liką sobie spokojnie pójdziemy dalej, a potem urządzimy babski wieczór.



Wiatr znad przepaści podrywał jej rude kosmyki, przynosił z dołu zapach mokrego, stale skąpanego w głębokim cieniu gór lasu oraz ciskał w twarz wyczuwalną nawet tutaj pianą z odległej kipieli. Lika wychyliła się przez płot, chcąc zerknąć w dół. Znikające za krawędzią urwiska słońce rozbłysło feerią pomarańcza na jej kołyszących się lokach.

– Weź się tak nie wychylaj – parsknął Jens, ciągnąc ją za kołnierz. – Ja tam po ciebie schodzić nie będę!

Po rozpakowaniu się zjedli wysmienitą kolację, a teraz rozsiedli się na ławkach przy stoliku za schroniskiem. Anis przygrywała na gitarze, nucąc skoczne piosenki. Mężczyźni rozłożyli mapy oraz przewodniki i zaczęli planować trasy wycieczek. Lika przysłuchiwała się temu bez zbytniego entuzjazmu. Czeakało ją sporo trudnych, wyczerpujących dni. Wolałaby spędzić ten czas z książką nad potokiem, ale nawet nie chciała drażnić Jensa taką propozycją.

Jej uwagę zwróciła rozmowa gospodarzy i dwóch turystów. Najwyraźniej dopiero wrócili z wędrowki, bo nieśli plecaki i wyglądali na zmęczonych. Mimo to uśmiechali się radośnie, rozentuzjasmowani.

– Widok naprawdę jest niezwykły! – podzielili się wrażeniami. – Szkoda, że góry po drugiej stronie urwiska są objęte rezerwatem ścisłym.

Szeroki uśmiech właściciela schroniska wydał się obserwującej tę scenę dziewczynie odrobinę wymuszony.

– Tak, cholerni ekolodzy. Trzęsą się nad miejscami lęgowymi ptaków szponiastych...

– Widzieliśmy te ptaki! – podchwycili wędrowcy. – Niezwykły widok, kiedy tak unoszą się w powietrzu. To jastrzębie?

– Jastrzębie, pustulki. Mamy tu nawet parę orłów przednich – wtrąciła się partnerka gospodarza. – Ptaki to moja pasja!

– Pani Lusi! – przymilił się do niej jeden z mężczyzn – wiem, że późno wróciliśmy, ale może dałoby się jeszcze znaleźć dla nas coś w kuchni?

– Odgrzeję wam gulasz z obiadokolacji. – Gospodyni śmiała się wesoło, prowadząc gości do domu. Wiatr bawił się jej różowymi kosmykami.

Idylliczne wrażenie zaburzyła kolejna wypowiedź turystów przyniesiona Lici przez powiew:

– Po zobaczeniu tego na własne oczy łatwiej nam zrozumieć, czemu przez wieki składano tu ofiary z ludzi...

Wiatr zawył pomiędzy regłami. Słuchając jego śpiewu, łatwo było sobie wyobrazić płacz potępionych i wołania skażących. Lica przebiegł po plecach zimny dreszcz. Czym prędzej skupiła się znowu na radosnych piosenkach śpiewanych przez Anis.

Kiedy gospodarz podszedł do grupy rozbawionej młodzieży, Sam zagadnął:

– Chcemy się wybrać jutro do punktu widokowego na grani nad urwiskiem. Planujemy też kilka wycieczek po górach. Wszystkie szlaki wychodzą stąd, prawda?

– Nasz most to jedyne przejście przez Kościelicę. – Mężczyzna pokiwał głową. – A ile kłopotu miałem z miejscowymi, to strach! Człowiek chce jeden most postawić i się buntują.

– W Skalnym Plesie nie chcieli wydać panu pozwolenia? – spytał z zainteresowaniem Jens, który lubił się szczyć swoimi przedłużającymi się niemiłosiernie studiami prawniczymi.

– Nie, w urzędzie to niemal z pocałowaniem ręki mi wszystko podpisali! Most i szlak na Urwisko Śpiących to był jedyny sposób, żeby jakoś rozkręcić tutaj turystykę. Mieszkamy na samym końcu świata. Pracy nie ma, młodzi uciekają. Trzeba coś zrobić, bo miasteczko za kilka dekad wymrze. Mówiłem

o tubylcach. W lasach żyją ludzie, którzy... nie aprobują moich działań. Ale nie robią nikomu krzywdy, to po prostu dziwaki. Ciągłe mam z nimi problemy. To przez ich petycje góry objęto ścisłą ochroną, ptasiarze jedni. Staram się z nimi wynegocjować otwarcie choć dwóch szlaków, na przykład na szczyt Chonicy, ale są uparci jak zaraza. Nie i nie, bo „święte tereny przodków”, „ptasie gniazda” i inne takie gadanie. Niczego nie rozumiem.

– To na Chonicę nie można wejść? – Twarze chłopaków wydłużyły się w zawodzie. Był to najwyższy szczyt Astenów Wschodnich i jego zdobycie stanowiło główny cel wyjazdu. Za to Lika skrycie odetchnęła z ulgą. Nie chciała się wspinać na tę wysoką górę.

– Nic nie poradzę. – Właściciel rozłożył ręce. – Ale polecam grań oraz innego dnia wycieczkę na Sashwanam. To też bardzo malownicza trasa, tylko musicie uważać na święte kapliczki tubylców, takie tam kupki kamieni. No, ja mam jeszcze trochę pracy przy obejściu. Życzę miłego wieczoru. Pamiętajcie, że jeśli chcecie udać się jutro aż na szczyt urwiska, to najlepiej wyruszyć tuż po świcie. To długi, wymagający szlak.

Słońce tonało za górami. Urwisko Śpiących rzucało głęboki cień na wzgórze ze schroniskiem. Ściana lasu mroczniała, a wiatr cichł. Spomiędzy drzew dobiegały głębokie zawołania puchaczy. Nocni łowcy ruszyli na żer.

Lika zapatrzyła się na ciemne knieje. Tak jak inni, ona także nie zauważyła, że pracujący na farmie mężczyźni krążyli wokół granicy posiadłości i czujnie obserwowali otoczenie, a każdy z nich ścisnął w dłoniach strzelbę. Nie dostrzegła, że gospodarz, zamiast zająć się wspomnianą pracą, stał przed wejściem do schroniska i bacznie omiatał wzrokiem kręcących się po łące turystów. Wyglądał, jakby ich liczył, jakby chciał się upewnić, że wszyscy wrócili przed zmrokiem.

Zamiast tego obserwowała widnokrąg. Niebo powlekało się granatem, a nad czarną linią gór migotały gwiazdy. W okolicach jednego szczytu w niebo powędrowała lśniąca kula. Zatańczyła, zmieniając gwałtownie położenie.

Lika zerwała się na równe nogi.

– Patrzcie! – zawołała, szarpiąc Jensa za ramię. – To orb! Jens, to orb! Orb!

– Co? Gdzie? Jaki orb? Co ty znowu odstawiasz?

– Tam! – Wskazywała ręką na wirującą kulę światła. – I kolejny! Och!

Jej podniecone krzyki przyciągnęły uwagę innych ludzi. O ile Jens i jej przyjaciele pozostawali sceptyczni, jak zawsze w stosunku do jej zainteresowań, o tyle pozostali zaczęli wyciągać telefony i nagrywać zjawisko.

– To pewnie jakiś balon meteorologiczny lata czy coś – próbował ją uspokoić chłopak.

– Hi, hi, Lika znowu zacznie gadać o UFO. – Anis zachichotała. – Ale ja lubię opowieści Liki.

– Nie, Jens – cieszyła się Lika. – Zobacz, jaka prędkość, jaka zwrotność! To nie żaden balon ani nic takiego.

Prawie podskakiwała w miejscu. Nad szczytami rozjarzyła się niebieska poświata i teraz już również sceptycy obserwowali niebo z czystym niedowierzaniem. Światła rozplenily się po firmamencie i opadły nawet na las, tak że miejscami płonął łuną niczym ogarnięty pożarem. Ktoś krzyknął przestraszony i parę osób uciekło do schroniska. Ci uniknęli tego, co chwilę później wyszło z ciemności.

Anis podbiegła do Liki i objęła ją kurczowo.

– Lika! Musisz mi opowiedzieć, co to za światła! Kocham twoje opowieści!

– Nawet nie wiem, jak to skomentować – odpowiedziała, tocząc wzrokiem po licznych łunach. Jej radość zgasła zastąpiona niepewnością. – Tak rozbudowane zjawiska jak to... O podobnych słyszałam tylko w kontekście bardzo... niepokojących spraw.

Anis zakryła dłonią usta i rozszerzyła oczy w ekscytacji.

– Och, fantastycznie! Im straszniej, tym lepiej! Chłopcy, robimy sobie noc opowieści o duchach!

– Nie no, dajcie spokój – zaprotestował Tom. – Znowu wydumane opowieści Liki?

– No ale sami spójrzcie! – upierała się Anis. – Jak chcecie to racjonalnie wytłumaczyć?

Jens wzruszył ramionami.

– Pewnie ktoś świeci laserami, żeby ludzie się dziwili.

– W rezerwacie ścisłym?!

– No... mandacik będzie, że hu-hu. Nie daj sobie zmaćć umysłu bajkami Liki, Anis. – Pokazał jej język. – Są fajne, ale w końcu moje logiczne wypowiedzi zawsze wygrywają, prawda, kwiatuszku? – Pociągnął Likę za rękę, żeby usiadła obok niego, i otoczył ją ramieniem. Skinęła głową. Nigdy nie umiała go przegadać. Zawsze używał takich argumentów, że nie dało się im zaprzeczyć. A może to była kwestia tego, jak kierował rozmowami. Czuła się wtedy tak, jakby usiłowała pływać w grząskim bagnisku, a słowa, których używała, nagle traciły przypisane im znaczenie. Chyba po prostu nie była wystarczająco mądra. Ale Jens zawsze potem twierdził, że lubi ją właśnie taką głupiutką.

Westchnęła i oderwała wzrok od nieba. Właśnie wtedy to zobaczyła. Smukły cień przeskakujący nad ogrodzeniem. „Pies?” – zdążyła się zdziwić, kiedy jeden z mężczyzn poderwał strzelbę

do ramienia. Huknął wystrzał i echo poniosło go między góry. Grzmiało z wielokrotnione, odbijając się od szczytów.

Zwierzę opadło miękko na cztery łapy i zwróciło pysk w stronę strzelca. Po zamarłej w ciszy polanie poniosł się groźny warkot. Przez sekundę świat zdawał się zastygły w szoku. A potem rozpętało się piekło.

Ktoś zaczął krzyczeć. Wieczorną ciszę zalał jednostajny, histeryczny wrzask. Rozbrzmiał drugi strzał, ale i ten chybił.

– Do środka! Kurwa, pędem, ale już! – wrzeszczał Tamaly.

Zwierzę skoczyło ku jednemu z turystów. Sparaliżowana szokiem Lika widziała, jak łapy wilczura opadają na ramiona mężczyzny, jak otwierają się uzbrojone w ostre kły szczęki. Huczały wystrzały. Pysk zwierzęcia zacisnął się na ludzkim gardle. Wokół chlusnęła fontanna ciemnej krwi.

Ktoś głośno zawodził.

Pracownicy farmy wrzeszczeli, siłą podrywali turystów z ziemi i popychali w stronę bezpiecznego schronienia. Ktoś szarpnął Likę za ramię, ale nie zdołała zareagować.

Kolejne cienie wynurzały się spomiędzy drzew i przemykały pod ogrodzeniem lub przeskakiwały ponad nim. Pięć, siedem, dużo – ponad dziesięć. Były podobne do wilków, lecz znacznie większe, o niemal czarnym futrze i błyszczących zielonkawo ślepiach. Jeden gnał prosto na Likę, szczerząc zębiska. Wielkie łapy prawie bezgłośnie uderzały o podłoże. Widziała wszystko w najdrobniejszych szczegółach: zmarszczony nos, odbijający się od długich kłków blask płonącego nieba. Nagle pędzące na nią zwierzę potknęło się o własne łapy i runęło na ziemię. Z jego oka sterczała długa strzała.

Lika nie mogła pojąć tego, co widzi. Wpatrywała się w martwego wilka, w lotki na końcu promienia i nie rozumiała. Nie umiała się poruszyć. Zupełnie straciła władzę nad ciałem,

była jedynie oczami i uszami, porażonym w niedowierzaniu umysłem.

Przez płot przeskakiwały ludzkie sylwetki.

– Fen, zabieraj ich stąd! *Shravt!* – rozległ się potężny głos.

Zagrały cięwiwy.



Nie pomogły błagania, prośby ani groźby Wilczego Ludu. Zadużany w sobie Tamaly nie zamierzał słuchać „przesądnych dzikusów” i pomimo niebezpiecznej sytuacji w lasach nie odwołał rezerwacji gości. A teraz Hansen wraz ze swoim niewielkim oddziałem bez tchu gnał po śladach kierującej się w stronę rancza sfory. W duchu klął na czym świat stoi.

Echo wybuchło gromem wystrzałów z broni palnej. Już wiedział, że się spóźnili. Ze szczytu roznosiły się paniczne piski i łkania. Ale Wilczy byli tuż-tuż. Jeszcze kilka susów i przed nimi wyrosło ogrodzenie.

Hansen potrzebował ułamka sekundy, by ocenić sytuację, i paru gestów, by wydać swoim ludziom rozkazy. Przesadził płot i opadł miękko na trawę. Równocześnie nałożył strzałę na cięwiwę...

– Fen! – huknął ze wściekłością. – Zabieraj ich stąd! – Dał siarczyste przekleństwo: – *Shravt!*

Wtedy ją zobaczył: niewysoką dziewczynę otoczoną przez kłębiące się wokół grysty. Nie próbowała uciekać. Nie krzyczała. Stała sparaliżowana strachem. Nie drgnęła nawet wówczas, gdy w jej stronę skoczyło jedno ze zwierząt. Dlaczego się nie ruszała?!

Wewnątrz piersi Hansena coś się szarpnęło w nagłym strachu. Przez chwilę, dociągając cięwiwę do ucha, bał się, że nie

zdąży, że spudłuje. Na moment zniknęły krzyki i otaczający go zewsząd chaos. Były jedynie pieszczota lotek na policzku i ta nieruchoma dziewczyna.

Rozluźnił palce. Strzała z jęklwym świstem pomknęła do celu. Nigdy nie chybiał.

– Brys – warknął. – Weź małą.



Obok niej przebiegł ludzki cień, ale wtedy z mroku wystrzeliła sylwetka zwierzęcia. Człowiek nie zdążył się uchylić. Wilk wgryzł się w ramię mężczyzny. Ten krzyknął z bólu, upuszczając łuk i usiłując rozewrzeć szczęki bestii. Padli na ziemię. Z pokrytego futrem gardła wydobył się głuchy warkot. Drapieżnik potrząsnął głową, szarpiąc rannym. To wróciło Lice panowanie nad ciałem. U jej stóp leżały porzucony łuk i strzała, której myśliwy nie zdążył wypuścić. Nie pomyślała nawet o tym, że nigdy wcześniej nie używała tak prostego łuku – bez bloczków i celownika. Schyliła się po niego, nałożyła strzałę na cięciwę i naciągnęła ją aż do policzka pomimo oporu, który stawiało łuczysko. Wstrzymała oddech. Cięciwa zaśpiewała jej do ucha.

Potwór był tak blisko, że nie mogła spudłować. Trafiła w umięśnioną łopatkę. Zwierzę z krótkim skomleniem odskoczyło od ofiary i skierowało zielone ślepie wprost na dziewczynę.

Miała tylko jedną strzałę. Teraz była bezbronna, a wilk już spręzał się do skoku. Odruchowo zasłoniła się ręką, w której trzymała łuk.

– Cofnij się! – zabrzmiało tuż za nią.



Krzyk Brysa ponownie ściągnął uwagę Hansena do miejsca, gdzie wcześniej widział dziewczynę. Jego serce zatrzymało się na sekundę, kiedy ujrzał, jak potężna grysta powala jego przyjaciela. Tym razem naprawdę mógł nie zdążyć...

Turystka była szybsza. Chwyciła łuk i zaskakująco wprawnym ruchem napięła cięciwę. Oczywiście nie wiedziała, że musi mierzyć tak, by zabić na miejscu. Nie mógł jej za to winić.

Rozwścieczona atakiem grysta obnażyła kły w warkocie.

Hansen nie mógł strzelać, dziewczyna stała przed celem. Zarzucił łuk na ramię i zacisnął dłoń na rękojeści maczety.



Poczuła nacisk na ramieniu. Została szarpnięta w tył, a widok zasłoniła jej postać myśliwego. Od pędzącej stalowej klingi odbiło się światło. Wilk z głuchym stęknieniem zwałił się na trawę.

Obcy odwrócił się do Liki.

– Celuj tak, żeby zabić – odezwał się niskim, lekko ochrypłym głosem. – Oczy. Gardło. Serce, jeśli wiesz, gdzie jest.

Uniosła głowę. Na tle rozświetlonego nieba myśliwy wyglądał niczym cień bez twarzy. Widziała tylko błyszczące, czarne jak węgle oczy.

Rozdział 2

– W samą porę – jęknął ranny, wstając z ziemi. Zaciskał dłoń na pogryzionym ramieniu i krzywił się z bólu.

– Nie uważałeś – skarcił go Hansen. – Byłbyś martwy, gdyby nie ona.

Od domu Fena dzieliło ich ponad sto metrów. A on miał pod opieką dwoje ludzi. Kiedy stracił skupienie, Nalle błyskawicznie przejęła dowodzenie, ale mimo jej nieustępliwości wszędzie wokół kłębiły się wściekle grysty. Zerknął znowu na dziewczynę zaciskającą pobielającą dłoń na łuku. Umiała strzelać. Dobrze, w takim razie czas, żeby wykorzystała swoje zdolności. Ściągnął z ramienia Brysa kołczan i rzucił go jej.

– Głowa. Gardło – przypomniał, a ona bez słowa, wpatrzona w jego oczy, skinęła głową. – Wycofać się do Fena! – krzyknął do swoich ludzi. Tamali i jego goście już się ewakuowali, pora zadbać o własne bezpieczeństwo.

Lika nie miała szansy wypuścić kolejnej strzały. Nieznajomy był zbyt szybki, a strzelał z niezrównaną celnością, co nie pozostawiało jej pola do popisu. Całe szczęście. Ręce tak jej się trzęsły, że nie trafiłaby nawet w stodołę. Razem z myśliwymi przemknęła do schroniska i pierwsza wbiegła do jasno oświetlonego wnętrza. Od razu wypatrzyła przyjaciół zebranych

w kącie w ciasną grupkę. Anis szlochała w ramionach Toma. Bładzi Jens i Sam siedzieli po obu ich stronach.

Lusia Tamaly biegła pomiędzy gośćmi, pocieszając ich, opatrując skaleczenia i roznosząc gorącą czekoladę.

– To stado zdziczałych psów – tłumaczyła drżącym głosem. – Mamy z nimi poważny problem tego roku. Rozmnożyły się i niczego się nie boją. – Otarła łzy z policzków. Jej różowe włosy ostro kontrastowały z białą jak ściana cerą. – Ale myśliwi Hansena się z nimi rozprawią, obiecujemy. Już nikomu nie stanie się krzywda. – Jej uspokajającym słowom przeczyły ponure oblicza łowczych i kapiąca na deski podłogi krew Brysa.

Wysoki, chudy mężczyzna o wąskiej twarzy i czarnych włosach zebranych w koński ogon, ten sam, który uratował Likę, doskoczył do wystraszonego gospodarza, chwycił go za ramiona i cisnął nim o ścianę.

– Ty dupku! – huknął. – Ilu ich tu jest?! Mówiłem ci, żebyś zamknął biznes! Mówiłem, że gryst jest za dużo, że schodzą się całymi stadami! Tym bardziej, kiedy siadły wszystkie radiostacje! Ostrzegałem! Teraz masz martwego turystę!

– Odwal się, Hansen! – Tamaly prędko odzyskał rezon. – To wasz obowiązek zapewnić bezpieczeństwo!

– Gównu, a nie obowiązek – warknął myśliwy. – Obowiązki to mam wobec miasta, a tutaj jestem tylko z dobroci serca, ty chciwy gnoju. *Shravt!* – Potoczył gniewnym spojrzeniem czarnych oczu po zaniepokojonych świadkach dyskusji.

– Dajcie nam opatrunki! – zawołała wysoka kobieta. Lusia zerwała się i podeszła do niej z apteczką. Zaraz jednak odstąpiła na bezpieczną odległość. Ona, Fen i dwóch pracowników z niepewnością i urazą popatrywali na ранnego myśliwego, który krwawił na ich wypucowany parkiet.

Lika przyglądała się obcym. Wszyscy ciemnowłosi i smagli, wyglądali niezwykle. Uzbrojeni byli w łuki i długie noże, a ubrani w coś, co określiłaby skórzanymi pancerzami. Stanowili uosobienie dzikiej siły i złości.

Dowodzący grupą rzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem:

– Od tej chwili słuchacie mnie. Nikt stąd nie wychodzi. Ani teraz, ani jutro, dopóki nie powiem, że jest wystarczająco bezpiecznie, żebyście mogli wyjechać. Wtedy natychmiast się wyniesiecie i nigdy tu nie wróćcie. Jasne?

Ktoś cicho wspomniał o wezwaniu policji i karetki pogotowia, ale obcy jedynie prychnął jak rozszłoszczone zwierzę.

– Nie macie pojęcia, gdzie jesteście. Wasza cywilizacja tu nie dociera.

Lusia, wciąż teatralnie ocierając łzy, zapewniła:

– Wszystko zgłosimy na policji w Skalnym Plesie. Ale tutaj nie dociera naziemna linia telefoniczna, a sieć komórkowa nie ma zasięgu. Mamy krótkofalówki, ale stacja zepsuła się kilka dni temu, czekamy na serwis. Kiedy Hansen i jego ludzie obejrzą okolicę i stwierdzą, że jest bezpiecznie, mój mąż pojedzie do miasta.

Rozległo się parę ponurych mruknięć potwierdzenia, kiedy turyści spróbowali znaleźć choć tyle zasięgu, żeby wykonać połączenie alarmowe.

– Przecież chyba nie będziemy tu czekać kilku dni! – zawołał Jens.

Hansen obdarzył go lodowatym spojrzeniem. Jens zobaczył w ciemnych oczach pogardę, jakby tamten doskonale wiedział, że blondyn podczas ataku jako pierwszy uciekł z podkulonym ogonem.

– Proszę bardzo, możesz zrobić z siebie lekcję pokazową. – Łowczy wskazał na drzwi. – Nie dotrzesz nawet do samochodu.



Chcąc powstrzymać awanturę, Lika podeszła do chłopaka.

– Jens. – Pociągnęła go za rękę. Dopiero wtedy na nią spoj-rzał. – Posłuchajmy tych ludzi. Oni chyba mają rację.

Niestety zwróciła tym na siebie jego uwagę, a powinna być mądrzejsza. Doskonale przecież wiedziała, jak źle reagował, kiedy coś szło nie po jego myśli. Teraz skupił na niej całą złość.

– Siedź cicho, kiedy rozmawiają mądrzejsi od ciebie – syknął. Zauważył łuk w jej ręku oraz kołczan na ramieniu i to rozjuszyło go zupełnie. Wyrwał jej broń i odrzucił w kąt. – I przestań się bawić w rycerzy, bo tylko będziesz zawadzać.

– Hej! – rozległo się głośno. To ranny myśliwy poderwał głowę i popatrzył na chłopaka z oburzeniem. – Dziewczyna uratowała mi życie. Jeszcze raz ją obrazisz, to wypruję ci flaki. I nie potrzebuję do tego dwóch rąk. A ruda chochliczka to może nawet się dołączy, co? – Mrugnął do niej.

Puściła tę zaczepkę mimo uszu i pociągnęła Jensa w stronę schodów prowadzących na piętro. Chciała, żeby przestano na nich patrzeć. Mimo okropnej sytuacji czerpała otuchę z ciepła jego dłoni. Kiedy jednak znaleźli się w ciemnym korytarzu, Jens wyszarpnął palce z jej uścisku i wyprzedził ją, odpychając ramieniem na bok. Wszedł do ich pokoju i zatrzaskał drzwi. Lika usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

– Jens! – zawołała cicho. – Przepraszam! Nie chciałam cię rozzłościć. – Czuła dławiącą ją gulę. Była roztrzęsiona i zmęczona. Wciąż przerażona. Chciała, żeby ją przytulił i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. – Wpuść mnie! Proszę!

Rozbrzmiał metaliczny jęk sprężyn materaca, kiedy Jens rzucił się na łóżko. Bezradnie oparła czoło o drewnianą płaszczynę, przełykając gorzkie łzy.

– Jens? Przepraszam...

W końcu osunęła się na podłogę i skuliła bezradnie. Drzwi do ich pokoju były ukryte w mrocznym zaułku, więc nikt z idących na piętro nie zauważył siedzącej tam dziewczyny. Słyszała skrzypienie schodów i desek, kiedy do pokoi wracali pozostali goście. Została sama, a wtedy wspomnienia niedawnego kosmaru zdominowały jej myśli. Wciąż i wciąż widziała dzikie zwierzę rozszarpujące gardło człowieka, którego nigdy nie poznała. Długie kły i wielkie łapy miękko, niemal pieszczotliwie muskające umykającą spod nich ziemię. Przygryzła zębami dłoń, żeby stłumić szloch, i dławiła się pożerającym ją do cna strachem.

Jeszcze parę razy stuknęła w drzwi i wołała Jensa, ale ją zignorował. W korytarzu kilkakrotnie zabrzmiały długie, pewne kroki, zapewne któregoś z ludzi Hansena. Ktoś wyszedł na balkon, zostawiając otwarte drzwi. Do wnętrza napłynęło rześkie nocne powietrze.

W końcu zapadła cisza, nawet Lika przestała szlochać. Teraz już jedynie dygotała wstrząsana dreszczami i skostniała z zimna. Ponownie zaskrzypiały schody i ktoś przeszedł korytarzem. Tym razem kroki zatrzymały się przy skulonej dziewczynie.

– Czemu tu siedzisz?

Uniosła głowę.

– Bo... – Usiłowała zapanować nad głosem. – Nie mogę wejść... do po-pokoju. Mój chłopak... zamknął drzwi...

Dziewczyna, ta, która była z myśliwymi, patrzyła na nią uważnie.

– Chodź. – Wyciągnęła ręce i podciągnęła Likę na nogi. – Biedna, jesteś lodowata! To z szoku. Będzie dobrze. Zaraz się tobą zajmę – mówiła uspokajająco, obejmując ją ramieniem. – Jestem Nalle.

Zeszły do głównej sali oświetlonej tylko blaskiem płonącego w kominku ognia. W jego świetle Lika dostrzegła rannego

myśliwego. Na jej widok uśmiechnął się radośnie i pomachał zdrową ręką.

– Chochliczka! – ucieszył się. – Chodź się napić.

– To Brys – przedstawiła go Nalle. – Jest głupi jak but, ale da się lubić. Zawsze się wpakuje w jakąś kabałę. Dobrze, że tym razem byłaś obok, żeby go wyratować, inaczej skopałabym mu dupę.

– Sponiewierałaby moje zwłoki gorzej niż grysty. – Pokiwał głową.

Nikogo więcej tu nie było. Drewniane pomieszczenie tonęło w ciszy. Najwyraźniej wszyscy poza myśliwymi zaszyli się już w bezpiecznych kątach swoich pokoi. Lika ochlapała opuchniętą od płaczu twarz nad zlewem w kuchni, a potem wróciła z Nalle do jadalni. Brys zrobił jej miejsce obok siebie na ławie i podsunął miskę z gulaszem oraz chleb.

– Jedz, to może jeszcze urośniesz.

– Na to już dawno za późno – odparowała bez energii. – Poza tym patrz: ty jesteś taki duży i temu psu było łatwiej na ciebie trafić, a mnie przeoczył.

– Oho! – Zaśmiał się. – Już pokazuje pazurki! I nie pies, lecz grysta.

Chwyciła pajdę i zamoczyła ją w gęstym sosie. Ciepły posiłek powinien pomóc jej się choć trochę rozgrzać, a towarzystwo pozwalało zająć myśli. Mogła udawać, że radziła sobie z tym wszystkim, i może dzięki temu sama w to uwierzy.

– Co to jest grysta?

Nalle usiadła na stole, zakładając nogę na nogę, i zaczęła przeliczać strzały w kołczanach.

– No, to te... – Machnęła ręką w stronę zewnętrznej ściany budynku. – Bestie. Wychodzą zza urwiska. Tylko strasznie ich dużo w tym roku i nie umiemy sobie z nimi poradzić.

- Mieszkają w rezerwacie ścisłym?
- Aha.
- Dlaczego się o tym nie mówi? Przecież to niebezpieczne! Myśliwa wzruszyła ramionami.
- Zazwyczaj trzymają się drugiej strony Kościelicy. Nie wiem, co je opętało w tym roku.
- Gospodarz mówił, że to dzikie psy – powiedziała cicho Lika.
- Nie wierz w żadne słowo Fena Tamalyego – rozległo się za nią gniewnie. Na dźwięk tego niskiego głosu przechodziły ją dreszcze. Obejrzała się przez ramię. Nie słyszała jęknięcia stopni ani parkietu, które ostrzegłyby ją przed nadejściem Hansena. I chyba nie tylko ona, bo Brys przewrócił oczami.
- Skończ się tak podkradać do ludzi, bo ktoś kiedyś na za-
wał zejdzie.
- Zagadnięty zignorował tę uwagę i oznajmił:
- Grysty zabrały resztki ciała do lasu.
- Lika ponownie poczuła wypełniający ją chłód. Ta informacja, tak obojętna i beznamietna, przywołała jej przed oczy obraz rozszarpywanego gardła i umierającego mężczyzny. Żołądek skurczył się jej gwałtownie, a niedawno zjedzony posiłek pomknął w górę. Na szczęście łazienka była tuż obok. Zdążyła do niej dobiec.
- No wiesz co! – usłyszała zza drzwi głos Brysa. – Specjalnie ją nakarmiłem, żeby trochę urosła, a ty wszystko psujesz!
- Przez moment wisiała nad muszlą, opróżniając żołądek, a potem otarła usta i odkrzyknęła:
- Mówiłam, że na rośnięcie jest za późno!



Za oknami powoli budził się świt, kiedy ostatni wartownik zszedł z dachu budynku. Sfora odeszła, zabierając ze sobą zwłoki ustrzelonych zwierząt. Ten szczegół zmroził myśliwym krew. Nigdy dotąd nie zetknęli się z takim zachowaniem swoich odwiecznych wrogów.

Hansen słuchał raportów oparty o ścianę. Trzymał ręce skrzyżowane na piersi. Zamyślony wzrok utkwiał w Lice, która zwinęła się w ciasny kłębek na fotelu i tak zasnęła pod czujną strażą Nalle i Brysa. Niby mimochodem sięgnął po leżący na jednej z ław koc i okrył nim dziewczynę.

– Zbieramy się – zdecydował. – Ja i Nalle zostaniemy w okolicy do jutra, noc spędzimy tutaj. Wy odprowadzicie Brysa. Dzisiaj macie odpocząć, bo zaczynacie popełniać głupie błędy. – Zgromił przyjaciela spojrzeniem. – Jutro rano chcę mieć tu kilka osób. Będziemy osłaniać odwrót turystów.

Copyright © by Alina Gawryś AD Creations, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN: 978-83-968162-2-1

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Skład: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Korekta: Kinga Dąbrowicz – Zyszczyk.pl

Okładka: Urszula Przyłucka-Osypiuk

Ilustracje: Aleksandra Skrzycka

Mapy: Alina Duchnowska